Nr. 49. We Lwowie, dnia 8 grudnia 1901. Rok 9

TYDZIEŃ

Dodatek literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

O Chorale.

Z listów Kornela Ujejskiego do ś. p. Apolinarego Stokowskiego.

Pawłów 24. kwietnia 1894.

Kochany Apolinary!

Spóźniłem się z odpowiedzią na Wasze listy, bo mam zdrowie do niczego. Z mego listu do Styki dowiesz się, jak ogólnie zapatruję się na komentarze, a co się tyczy obrazów do Chorału są one, nie mówiąc o ich porywającej piękności, tak jasne, wyraziste, że komentarz tylko ujmę mógłby im przynieść.

W liście swoim wyraziłeś się, że umiałem muzykę Nikorowicza nie tylko *pojąć*, ale i w słowa *przelać*. To potrzebuje sprostowania. Kiedy Nikorowicz zagrał mi swój chorał, nie wspomniał ani słowem, że w nim zawarta modlitwa narodowa po strasznej rzezi r. 1846. Ja wtenczas już zacząłem był pisać Skargi Jeremiego i miałem w mej duszy już to wszystko, co później w słowach Chorału się znalazło. I czy to podobna, aby muzyka do jednej strofy mieściła w sobie i treść dla wszystkich strof następnych.

W mojej mowie na obchodzie lwowskim chciałem przypomnieć i podnieść zasługę zapomnianego twórcy muzyki do mego Chorału: dla lepszego efektu wyraziłem się, że to muzyka mnie *natchnęła*. A miało to znaczyć: Dała mi rytmiczną formę dla mojej już gotowej myśli. Ojcowstwo Chorału mnie się należy. Jego słowa rozchodziły się w odpisach po całym kraju nim o ich śpiewaniu pomyślano. Stało się to dopiero w r. 1848. Pojawiło się wtedy więcej kompozycji muzycznych do tych słów — utrzymała się muzyka Nikorowicza, którą propagowałem. Zamyślacie, jak mi donosisz, umieścić muzykę na pierwszej karcie, a słowa na *„drugiej“*. Byłoby to złe pojęcie genezis Chorału.

Aż Ci zazdroszczę, że starszy odemnie tak sobie biegasz od Dominikanów na plac Ś-go Jura — jakby nic. Niestety, ja do ogrodu Pawłowskiego buduję dla siebie wózek jednokonny.

Moi synowie kazali dla siebie robić kopie adresów, czem opóźnili ich wysełkę do Muzeum miejskiego. W tych dniach poszlę je na ręce p. Prezydentowi. Za kartonik pamiątkowy ślicznie dziękuję — i przesyłam Ci serdeczne uściśnienia.

K. Ujejski.

Umierające plemię.

W czasie, kiedy echa walk narodowych rozbrzmiewają po całej Europie, kiedy i najmłodsze narodki skrzętnie pracują nad rozwojem swojej własnej kultury i nad obudzeniem świadomości plemienno narodowej, umiera w oczach naszych naród, który niegdyś świetnością swojej kultury olśniewał oczy wrogów. — I nie w Ameryce wśród czerwonoskórych, nie Mohikanie to, ale europejskie, co więcej słowiańskie, więcej jeszcze, bo nam Polakom najbliżej pokrewne plemię. Wymarli Drewlanie i Glinianie na Połabie, w 17 stuleciu, żyje jeszcze wprawdzie garstka 200 tysięczna Serbów łużyckich, — na Przyodrzu, ale i wśród nich „zaraza niemiecka“. — U morza bałtyckiego zaś, między błotami jeziora gardzińskiego i nadłebiańskiego, mieszka ostatni szczątek słowiańskiego, potężnego niegdyś rodu Pomorzan. To była ich nazwa polityczna, którą nosili w okresie swojej świetności w 11 i 12-stem stuleciu. — Składało się na nią wiele nazw pomniejszych okrężnych plemionek — z których bliżej Polski mieszkający i do dziś żywo z Polską związany jest odłam Kaszubów-katolików. — Natomiast ci, o których piszę, mieszkają zupełnie odosobnieni, odcięci od tamtych, i są gwarą nawet odmienni, która jeszcze bardziej obcą jest językowi polskiemu, jak u katolickich Kaszubów. Gwara Kaszubów-katolików stała się swego czasu zarzewiem walki między lingwistami naszymi. Jedni jak — Ramult widzieli w niej odrębność językową, inni jak Karłowicz tylko gwarę ludową.

Natomiast Parczewski, który u nas pierwszy zbadał „nadłebiańskie“ okolice, udowodnił że „Słowińcy“ schowani jako zabytek dawny, w błotach nadmorskich, są „odrębną gałęzią pomorsko słowiańską“. — Oni też sami siebie nie nazywają Kaszubami, ale „Słowinsti“, a mową swoją „Słowinstje goudanie“. — Mówią też: „ma radzym po słowinstu“. — Stare formy słowiańskie, używanie liczby podwójnej, trafiają się bardzo często, jak naprzykład „té dwa chłuopa seczeta trouwe, (ci dwaj chłopi koszą trawę).

Pisali o nich, rosjanin Hilferding, który zwiedził ich kraik w połowie 19 stulecia, z Polaków opisał Parczewski najdokładniej w Pamiętniku nauk poznańskim. Oprócz niego pisali Dr. Nadmorski (Lud 5-ty tom) 9., Smólski w ostatnim roczniku Wisły. — Zwłaszcza Parczewski, skrzętnem uchem łowił ostatnie dźwięki słów ojczystego języka, gasnącego w naszych już oczach chyba na wieki. — Nie umiera zaś w tem plemieniu ubogich chłopów „słowińskich“, jakieś etnicznie tylko interesujący odłam Słowiańszczyzny, ale kona naród, który kulturą wysoko błyszczał niegdyś w dziejach Europy. — To miejsce, na którem bowiem Pomorzanie siedzieli, było niegdyś jedynem źródło klejnotu, nad złoto kosztowniejszego, jakim był bursztyn. — Sól i bursztyn, te dwa największe skarby, mieli oni pod dłonią swoją. —

Polska jeszcze do 13 wieku, to jest do odkrycia wielkich kopalni, sprowadzała sól z Kołobrzegu.— Po bursztyn udawały się tam wszelkie narody. Monety rzymskie, greckie, arabskie, często do dziś znajdują się na całem pobrzeżu. — Arabi od ósmego stulecia tam jeździli. — Helmold opowiada o Grekach którzy mieszkali w Wolinie, głównem ich mieście. — Miasta zaś, to były wielkie, gęsto zaludnione i pięknie zabudowane drewnianymi wprawdzie domami. — Mieściły w sobie rzezane, wielkie, barwne świątynie, bogom światła i słońca, Światowidowi, czyli Trzygłowowi oddane, których piękności i dokładności wykonania Niemcy z 12 stulecia nie mogą się nadziwić. „Zwierzęta i ptaki, jakby mówić się zdawały, tak są pięknie zrobione“, powiada Helmold. — Zupełnie jak w Grecji niegdyś, wyszła z dna narodu własna religja, znajdująca swój wyraz w świątyniach bogatych i na narodową modłę urobionych. Miasta wielkie i zamożne, Julin, Kołobrzeg, Szczecin, mieściły w sobie też dziwnie odrębną i dziś jeszcze jako ideał uważaną kulturę obyczajową. — Gościnność była tam tak wielka, że Giesebrecht, niemiecki historyk powiada: „żaden naród równie cnotliwym pod tym względem nie jest“. W Szczecinie, naprzykład, każdy ojciec rodziny miał porządną izbę, w której na najczystszą płachtą ozdobną zasłanym stole stały w pogotowiu potrawy i napoje, i gdzie każdy może wejść i nasycić się. Im zaś był szczodrzejszym, tem się miał za szlachetniejszego.

Jeśliby zaś, co było nadzwyczaj rzadko, ktokolwiek obcemu gościnności odmówił, to spotykał się z ogólną wzgardą i każdy miał prawo jego dom podpalić.

Żebraków u nich nie było, a starców i chorych pielęgnowali krewniacy z rzadką troskliwością.

— W czasie zaś, kiedy toczył się proces we Wrześni, gdzie pastwiono się „zgodnie z pruskimi przepisami“ nad ciałkami dzieci polskich, bijąc je do krwi i uważając to jako „czynność urzędową,“ warto „cywilizowanym“ Prusakom przypomnieć obyczaj ówczesny z przed tysiąca lat „barbarzyńskich Wendów“ na Pomorzu.

„Kar cielesnych i kary śmierci nie było u Słowian (pomorskich) ani śladu.“

Nie dziwo, że lud o tak wysokiej kulturze obyczajowej i artystycznej z pogardą odnosił się do tych chrześcijańskich rabusiów, którzy zewsząd z północnej Normandji, zachodnich krajów Niemiec i Danji, z południowej Polski, z krzyżem w jednej, mieczem w drugiej dłoni cisnęli się do tej krainy bursztynowej. — Pogańscy Szczecinianie mówili wedle współczesnych kronik, patrząc na

ówczesne wzory chrześcijańskie, z którymi przychodzili przybysze: „U chrześcijan, są złoczyńcy i zbójcy; odrębuje im się nogi, pozbawia oczu, najrozmaitsze rodzaje zbrodni i kar wykonuje chrześcijanin wobec drugiego chrześcijanina; „takiej religji nie chcemy“. — W sądownictwie okrutna próba ognia zjawiła się na Pomorzu, dopiero — z wprowadzeniem chrześcijaństwa. — Przywiązanie do rodzinnych bogów i ojczystych zwyczajów nie dopuszczało wpływów chrześcijańskich, na które więcej barbarzyńscy bracia byli wraźliwsi, a wielu apostołów chrześcijańskich, między nimi Św. Wojciech, życiem okupiło swoją wytrwałość w nawracaniu Pomorzan. —

Sąsiedzi poczęli więc przeć na nich ze wszystkich stron, Polacy za Bolesława Chrobrego i Bolesława Śmiałego wyładowywali swoją energję wprawdzie w innych kierunkach, dopiero Bolesław Krzywousty skierował swoje hufce ku Pomorzu. — Obręcz przez dwadzieścia kilka lat zaciska się. W r. 1119 spalili wreszcie Duńczycy słynny Julin (Jumne). W r. 1124 zdobył Bolesław Krzywousty Szczecin, i tak dzieło „nawrócenia“ Pomorzan zostało dokonane. — Samodzielną kulturę wyrosłą z „pogańskich“ pierwiastków, zdusiło chrześcijaństwo, a niemieccy biskupi nawracali wyższe klasy ludności pomorskiej nietylko na ówczesną „niemiecką religję“, ale i na niemiecki język.

Germanizacja poczęła stąpać żelaznymi krokami naprzód.

Mimo to jeszcze w XVIII stuleciu powiaty Lęborski i Bytowski były słowiańskie. — Jeszcze w r. 1643 wydają protestanci dla Słowianów „mały katechizm Lutra w słowieński wystawiony“.

Znać już jednak na tej drukowanej mowie przemożny wpływ kultury językowej polskiej. W 19-tem stuleciu wypierany przez szkoły i pastorów zaczyna dopiero gasnąć język słowiński tak szybko, że Hilferding w szóstym dziesiątku lat wśród nich przebywając, przepowiadał za 30 lat koniec Słowian.

W 30 lat po Hilferdingu przyjechał do nich Parczewski, i zastał jeszcze żywe szczątki. „Tam wszandy są polscy ladze“ mówili do niego o miejscach, gdzie zastawał już jedynie garstkę starców. Wzruszającem jest, że ten lud, znajdujący się w pewnej liczbie zwartszej, jedynie w Klukach górnych i dolnych, odciętych prawie zupełnie błotami, mimoto czuje jakiś żal i kochanie do polskiej siostrzycy, która ich nawet wtedy, kiedy siłę miała, Niemcom na pastwę zostawiła. „Boryszewski był dobry ksiandz, on trzymał na polskie, ale ten je dot pomiarty.“ — Czasem bywała jeszcze w chacie słowińska książka do modlenia, która, „gdy starsi zdechli“, dawano im do trumny, bo już nikt jej nie rozumiał.

A starcy skarżą się: „Welka skaza mezi mnu a dzioćmi, że oni nie rozumiejo co jo radzy.“

Ciekawem jest, że nikt dobrze nie wie, wielu jest Słowińców zdolnych porozumieć się w swoim języku. Parczewski pisze w r. 1882, że niema ich ani stu.

Tymczasem urzędowa statystyka z r. 1890 naliczyła ich, jako „prawdziwych kaszubów“ 721, a z ostatnich jeszcze badań, wynika że we wsi Klukach i dzieci małe „radzą po slowinsti.“

Tak ginie bratnie plemię najbliższe nam po języku, kulturze i przeszłości, a kiedy w r. 1874 budowano wdziś już w całkiem zniemczonych Smołdzeniach nowy kościół, to księgi słowińskie wrzucono do podziemi kościelnych i tam je zamurowano na wieki. — Jak uroczystość pogrzebowa, straszna, na której nie jednego człowieka, ale kulturę całego plemienia do grobu chowają, wygląda opowieść powyższa. — A nim ostatnie żywe słowo z ust Słowińca na wieki uleci, niech czytelnik polski dowie się o swoim umierającym bracie, o którym za jego życia zapomniała Polska.

To ma na celu garść słów powyższych.

Kazimierz Moklowski.

M. Gorkij.

„Pieśń o Sokole“.

Drzemie morze.

Olbrzymie, tu u brzegu szemrzące leniwem westchnieniem, zasnęło i znieruchomiało już w dali, zalanej błękitnawem światłem księżyca. Czarne, a z miękkością i połyskiem aksamitu, zlewa się hen daleko z modrem niebem południa i śpi spokojnie, odbijając w swem łonie delikatne rozwiewne obłoki, jakby zastygłe na niebie, którego szlaków gwiaździstych nie przesłaniają ich przeźrocze kształty. A niebo zda się wciąż niżej pochylać ku morzu z tęsknem pragnieniem dowiedzenia się, o czem tak marzą nie znające spoczynku fale, kiedy pół sennie toczą się na brzegi.

Góry, na których drzewa wiatr pokrzywił dziwacznie, strome i surowe, dźwigają się w zwyż, w bezmiar pustyni błękitu; ciepła, pieszcząca mgła nocy południa otula i łagodzi ich ostre, poszarpane zarysy.

Stoją góry w zadumie głębokiej. Czarne cienie padają od nich na harde zielonawe grzbiety fal, kładą się na nie, jakgdyby chciały powstrzymać ich ruch, zagłuszyć westchnienia piany i nieustający plusk wody — te odgłosy, które

mącą tajemniczą ciszę, obejmującą w posiadanie wszystko, wraz z srebrno-błękitną światłością miesięczną, ukrytą jeszcze za szczytami gór.

— A — ała — ach — a — akbar!... wyrywa się cichem westchnieniem z piersi Nadyr-Ragim-Ogły, starego krymskiego czabana, o minorowym zawsze nastroju; jest to wysoki, siwy, spalony żarami południowego słońca, suchy i mądry starzec.

Leżymy oto obaj na piasku pod olbrzymim głazem, który się od rodzicielki skały oderwał, mchem porósł, mrokami odział i trwa tak, smętny i chmurny. Na bok jego, ku morzu zwrócony, fale naniosły wodorostów i długie ich nici zdają się wiązać kamień do wązkiej piaszczystej smugi, która morze od gór oddziela. Płomię naszego ogniska rzuca blask na część głazu, zwróconą ku górom, cienie i blaski drżą i migocą na jego spękanej powierzchni.

Stary głaz wygląda, jakby myślał i czuł...

A my z Ragimem gotujemy oto „uchę“ ze świeżo złowionych ryb i obu nas ogarnia ten dziwny, wyjątkowy nastrój, w którym wszystko, co nas otacza, zdaje się uduchowionem, przejrzystem, pozwala zajrzeć aż tam, w głąb siebie, a wielkie ukojenie zstępuje do serca i niema w niem już żadnych innych pragnień — prócz pragnienia myśli.

A morze łasi się u brzegu, fale dźwięczą smutkiem i pieszczotliwą prośbą, jakgdyby chciały pogrążyć się w ognisku. Czasem z ogólnej harmonji szmerów wybije się jedna wyższa i niby rozswywolona nuta — to jedna z fal — najśmielsza, dotarła aż do nas. A Ragim zdążył już porównać fale do kobiet i rzuca podejrzenie, że pragną nas chwycić w objęcia i całować.

Leży oto stary piersią na piasku, głową ku morzu zwrócony, oparty na łokciach, z twarzą na dłoni, duma i patrzy w mętną dal.

Kudłata czapa barania zsunęła mu się na tył głowy, świeży powiew od morza chłodzi jego wysokie czoło, pokryte gęstą siecią drobnych zmarszczek. Ragim filozofuje — nie obchodzi go, czy słucham, nie zwraca na mnie najmniejszej uwagi, zdaje się rozmawiać z morzem:

„Wierny idzie do raju. A kto nie służy Bogu i prorokowi? Może on tu, w tej pianie... A te srebrzyste plamy na wodzie, może to ci... kto wie?“

Czarne, olbrzymie, w potężny bezmiar rozlane morze zaczyna się stawać jaśniejszem, tu i owdzie drgają już na niem srebrzyste odblaski księżyca. Cichy i zamyślony wypływa z za strzępiastych szczytów gór i śle łagodne światło morzu, a ono sennie wzdycha ku niemu.

— Ragimie!... opowiedz bajkę... — proszę starego.

— Po co? — pyta Ragim, nie odwracając się.

— Ot, tak sobie! Lubię słuchać twych bajek.

— Opowiedziałem ci już wszystkie... Nie umiem więcej...

To znaczy, że stary ma ochotę, by go prosić, więc proszę.

— Chcesz, to ci opowiem pieśń? — zgadza się Ragim.

Oczywiście, chcę usłyszeć starą pieśń — i oto starzec zaczyna smętne recitativo, starając się oddać dokładnie całą odrębność stepowej melodji.

I.

„Tam na wysoki szczyt góry wpełzł Wąż, legł w szczelinie wilgotnej, w kłąb się zwinął i patrzy na morze.

„Tam wysoko na niebie słońce jaśniało, góry żarem ku niebu tchnęły, a nisko u ich stóp fale biły o głazy...

„A przez szczelinę, spieniony cały, wśród mroków gęstych, po skalnych złomach, rwał się i huczał potok ku morzu.

„W pienistej szacie, biały, potężny, wżerał się w górę i z wyciem gniewu wpadał do morza.

„A wtem w szczelinę, gdzie Wąż się kłębił, z pod niebios jasnych Sokół wpada, z rozbitą piersią i krwawem pierzem.

„Z urwanym krzykiem runął na ziemię i o głaz twardy pierś kaleczył w bezsilnym gniewie...

„Strach objął Węża, lecz pojął zaraz, że życie ptaka — dwie, trzy minuty...

„Więc się podsunął do zranionego i tak zasyczał mu prosto w oczy:

— „I cóż, umierasz?

— „Tak, ja umieram! — odjęknął sokół z głuchem westchnieniem. — O żyłem! żyłem... I wiem, co szczęście!... Walczyłem dzielnie!... Widziałem niebo... Tobie nie ujrzeć nieba tak blisko!... Ty, ty, biedaku!

— „A cóż to niebo? — to przestrzeń pusta... Jakżeż tam pełzać? Tu mi najlepiej... wilgotno, ciepło!

„Tak Wąż wolnemu mówił ptakowi i szydził w duszy z tych jego bredni.

„I wnet pomyślał: „Latać, czy pełzać, koniec wiadomy: wszystko do ziemi i wszystko prochem...“

„Lecz dumny Sokół wstrząsnął się nagle, podniósł powieki i okiem powiódł dokoła

„Po szarych głazach ściekała woda i duszno było w ciemnej szczelinie, zgnilizną wiało.

„I wszystkie siły wytężył Sokół w tym jednym krzyku męki i bólu:

— „Gdybyż raz jeszcze ku niebu wzlecieć!... Wroga przycisnąłbym tak do piersi mej poszarpanej... ażby się własną krwią moją zadławił!... O szczęście walki!...

„A Wąż pomyślał: „Może prawda, że tam pod niebem przyjemne życie, gdy ten tak jęczy!“

„I radzi zaraz: „Zsuń się tu bliżej, na brzeg szczeliny i rzuć się w dół“.

„A może, może skrzydła uniosą i chwilę jeszcze życia zdobędziesz w twoim żywiole.

Zadrżał Sokół, krzyk wydał słaby, szponami sunie po głazach — zwlókł się do brzegu urwiska.

„Zwlókł się, potężne rozpostarł skrzydła i pełną piersią chwycił powietrze -- z płomieniem w oczach na dół się toczy.

„Jak głazu kawał, toczy się, pada ze skał oślizgłych i skrzydła łamie i pióra traci...

„Fale potoku go pochwyciły, zmyły krwi ślady, pianą odziały, w morze uniosły.

„A fale morza z szumem żałośnym o głazy biją... Zniknął trup ptaka, już go nie widać w bezmiarze morza...

II.

„A w owej szczelinie Wąż dumał długo o śmierci ptaka, o tej miłości dziwnej do nieba.

„I spojrzał nagle w dal tę, co wiecznie oczy marzeniem o szczęściu łudzi."

„I co, co widział umarły Sokół w owej pustyni bez dna i brzegów? I czemu tacy, jak on, po śmierci, duszę nam mącą swoją miłością podniebnych lotów? Co im tam świeci? A przecież mógłbym poznać to wszystko, lecąc ku niebu, choćby na chwilę."

„Rzekł — i uczynił. W pierścień się zwinął, wzbił się do góry i wązką wstęgą błysnął na słońcu..."

„Zrodzony, aby pełzał — latać nie może!... Zapomniał o tem, i spadł na głazy, lecz się nie zabił i w śmiech uderzył..."

„Więc w tem się kryje ta rozkosz wzlotów! Jest nią — upadek!... O śmieszne ptaki! Ziemi nie znają, tęskno im na niej, dążą do nieba i pragną życia w żarze pustyni. Tam tylko próżnia. Światła tam wiele, lecz karmu niema, niema oparcia dla ciała. Skądże ta duma? Skąd te wyrzuty? By w nie ustroić szaleństwo pragnień, by niedołęztwo ukryć! O śmieszne ptaki!... Nie oszukają już ich słowa! Poznałem wszystko! Widziałem — niebo... Sam do niego wzleciałem, sam je zmierzyłem, znam i upadek, lecz bez rozbicia i jeszcze silniej w siebie dziś wierzę. Niech ci, co ziemi kochać nie mogą, ułudą żyją. Ja wiem, co prawda. I nie uwierzę już ich wezwaniom. Bo ja twór ziemi — i na niej żyję."

„I znów na głazie kłębem się zwinął, — dumny był z siebie."

„Skrzyło się morze w płomiennem świetle, a górne fale biły o brzegi."

„A w ich lwim ryku śpiew grzmiał potężny o dumnym ptaku i drżały głazy pod ich ciosami i drżało niebo od górnych dźwięków:

„Hej! oto sławim szaleństwo mężnych!"

„Szaleństwo mężnych — to mądrość życia! O ty, Sokole! O śmiały! Krwią opłynąłeś w boju z wrogami... Lecz czas nastanie — i każda kropla tej krwi gorącej pożarem spłonie w życiowych mrokach i wiele śmiałych serc rozgorzeje szaloną żądzą swobody, światła!

„Tak, ty umarłeś! Lecz w pieśni śmiałych, potężnych duchów ty wiecznie żywym będziesz przykładem, wezwaniem dumnych tam, tam do światła, tam do swobody!

„Szaleństwu mężnych oto śpiewamy!

...Milczy opalowa dal morza, ze smętnym szumem biegną fale na piaski, milczę i ja, patrzę na Ragima, który właśnie skończył opowiadać morzu pieśń o Sokole. A na wodę światło księżyca rzuca wciąż więcej plam srebrzystych... W kociołku zaczyna wrzeć. Oto jedna z fal toczy się aż na brzeg i swawolnie, wyzywająco, sunie ku głowie Ragima.

— A dokąd?... precz! — ręką odpędza ją Ragim i ukorzona, powraca cicho do morza.

Ani mię śmieszy, ani straszy to zachowanie Ragima, który fale uważa za żywe istoty. Wszystko dokoła tchnie dziwnem życiem, dobrocią, pieszczotą. Spokój morza taki wymowny, w jego świeżym oddechu, miłośnie obejmującym góry, co jeszcze żarem dnia płoną, czuć całą potęgę hamowanej mocy. Na ciemnym błękicie nieba gwiaździste wzory kreślą coś, co jest radością wielką, co czar na duszę rzuca i umysł słodkiem oczekiwaniem objawienia — cudu kołysze.

Sen nad wszystkiem, lecz dziwnie czujny sen, jak gdyby zaraz, za chwilę, zerwać się miało przebudzenie i wypełnić przestwór cudną harmonją przesłodkich dźwięków. A dźwięki te mówić będą o tajemnicach wszechstworzenia, rozjaśnią rozumowi ciemne nieodgadnione głębie, potem go zagaszą, jak błędny ognik na moczarach i duszę uniosą wysoko, w bezmiar błękitu, gdzie migotliwe skrzące szlaki gwiazd dźwięczą potężną pieśnią objawienia.

Tłumaczyła *Marja Markowska.*

---

24)

O wpływie trunków alkoholicznych

na organizm zwierzęcy i ludzki.

Inny znowu rodzaj zwyrodnienia instynktu moralnego alkoholików, jest obnażanie swego ciała, bądź częściowo, bądź całkowicie. Już w wiekach starożytnych czciciele Bachusa, tudzież Bachantki wystawiali na pokaz swoje ciała nagie, to samo spostrzegamy i dzisiaj u alkoholików tegoczesnych, albo w sferach gdzie panuje głównie ta choroba dziedzicznie.

Moda ubiorów balowych, dam dekoltowanych, ma swoje źródło w dalekiej przeszłości, bierze ona swój początek tu u nas w zwyczaju poddanek królów francuskich prezentowania przed pa-

nującym, zwykle alkoholikiem, swych wdzięków i powabów niewieścich dla wyboru ich na metresy. Moda przeszła ze stolicy rozpusty do innych krajów, przeżyła czasy, gdzie obnażanie ciała miało cel określony, jarmarcznej wystawy nałożnic królewskich, dzisiaj jest już przeżytkiem, wstrętnem wspomnieniem smutnego upodlenia średniowiecznego, jest więc obecnie tylko targiem wystawowym, na którym panny, jak gdyby z kojca hodowczego na sprzedaż wyprowadzone uczą się zatracać instynkt skromności i wstydu. Zatrata skromności niewieściej w tak zwanym „Beau monde“ jest już wprost wyrazem alkoholizmu niestety nawet i kobiecego.*)

Na Syberji, w tych okolicach gdzie nie ma alkoholu, nie spotyka się nigdy ani warjatów, ani idjotów, również obnażanie ciała uważa się niemal za zbrodnię. Złodziejstwa i rozboje są także tam nie znane wcale.

Prawie wszyscy idjoci od urodzenia, czyli jak ich nazywają na Syberji „Jurodiwyje“, a również wielu warjatów i alkoholików, com obserwował, stają się nieczułymi na chłód i mają dziwną namiętność chodzić nago.

Mieliśmy w Durasuniu za Bajkałem dwóch kozaków: Żdanowa i Garaczkina, alkoholików nałogowych, pijących bez miary, ci kozacy ubierali się w mrozy największe tylko w letnie odzienia i gdyśmy marzli w szubach i „dochach“, im było ciepło i w szynelach wojskowych; synek kilkuletni Żdanowa miał w ciągu zimy za całe ubranie koszulinę płócienną, biegał przytem boso po lodzie i śniegu w czas mrozów najtęższych. Pytany czy mu nie zimno? odpowiadał zawsze „zdarowo“.

Widziałem u przewozu na Ononie w Krainie zabajkalskiej, jak w jesień późną, gdy krę pędziło po rzece, kąpał się u brzegu „jurodiwyj“ za przyobiecany mu kieliszek wódki i nie zdradzał przytem żadnych uczuć zziębnięcia, przeciwnie wdział na mokre ciało długą koszulę, która mu służyła za całe ubranie i szedł wesoły do szynku za przewoźnikiem po obiecaną gorzałkę.

Spotkaliśmy raz, jadąc zimą, w dzień mroźny i wietrzny, w miejscu oddalonem od wsi na wiorst 10 przynajmniej „jurodiwawo“, ubranego tylko w koszulę, bez obówia i bez czapki; zajęty on był przenoszeniem kamieni z jednej kupy na drugą, kamienie te sam zbierał i przyniósł z gór na dolinę. Chcieliśmy go wziąć ze sobą, bośmy jechali w stronę jego wsi, ale nie przystał na to; krzycząc i bełkocząc wyrazy niezrozumiałe, uciekał przed nami; pozostał więc przy robocie i wrócił z wycieczki późno wieczorem, jak nam powiadali później krewni tego idjoty; dowiedzieliśmy się też od nich, że ojciec jego był dymissjonowanym żołnierzem, pijakiem nałogowym, matka była również pijaczką, on sam urodził się idjotą, mówić nie umiał, nie znosił ubrania, w czasie chłodów zimą odziewał się w koszulę, latem chodził nago; wypędzany za to ze wsi, tułał się przez dzień cały po krzakach i lasach i dopiero o zmroku przychodził po żywność. Zimą odbywał wycieczki dalekie i pomimo silnego nieraz zimna nie odmrażał sobie ani nóg, ani uszu. Zginął rozszarpany przez wilki.

Nieczułość na chłód pijaków, idjotów i warjatów, znaną jest powszechnie na Syberji, brak wrażliwości fizycznej i moralnej idą z sobą w parze u tych nieszczęśliwych ofiar alkoholizmu niniejszego. Alkoholicy są również nieczuli na brak czystego powietrza po szynkach i piwiarniach, n. p. „Breslauer Keller“ i inne podobne przybytki urządzone dla pijaków, jak tu u nas, tak też i zagranicą są najsmrodliwszemi lokalami, a jednak ludzie spędzają całe długie wieczory w smrodzie, jak gdyby się kąpali w czystem górskiem powietrzu. Gorąco, dym, wyziewy cuchnące alkoholu, amoniaku i siarkowodoru są dla nich rozkoszą prawdziwą.

Nie tylko pijacy i warjaci z klas niższych, społecznych, ale też i z pomiędzy arystokracji rodowej i umysłowej, chorują często na manję „chodzenia nago“. I tak np. widziałem arystokratę, pochodzącego jak mówiono wprost od „Ruryka“, a cierpiącego również, jak i zwykli śmiertelnicy na ten obłąd. Takim alkoholikiem był książe R a s t a p c z y n, on miał, jak sam oświadczał, większe prawa do tronu Wszechrosji, niż członkowie domu Romanowych, ale pomimo tego zadowolnić się musiał skromnym tylko tytułem „Ształmejstra“

---

*) W krainie Zabajkalskiej, za czasów mojej tam bytności, panował pewien zwyczaj u kozaków konnych pogranicznych i u włościan we wsi Balzyna i Ustila. Zwyczaj ten wskazuje, że w wiekach ubiegłych, u przodków mieszkańców tamecznych, narzeczony miał prawo oglądać swą przyszłą żonę, rozebraną do naga i dopiero przekonawszy się, że wad cielesnych nie ma żadnych, brał ją za małżonkę. Zwyczaj rzeczony uważam za przeżytek z czasów dawno minionych, polegał on w dobie, o której mowa, już tylko na tem, że w przeddzień ślubu, narzeczona udawała się do łaźni, drużki rozbierały ją do naga, rozplatały kosy i stawiały ją pośrodku izby, same cofając się ku drzwiom wchodowym, po takiem przygotowaniu wołano narzeczonego, ten wchodził do wnętrza łaźni i polewał rozpalone kamienie w piecu łaziennym wódką, albo winem, poczem ukłoniwszy się trzykrotnie przed stojącą nago narzeczoną wychodził z łaźni. Dopiero wtedy drużki umywały narzeczoną, oblewały ją następnie perfumą i wyprowadzały z odpowiedniemi śpiewami z łaźni, tu spotykał ją narzeczony z podarkami ślubnymi. Może ten zwyczaj ma coś wspólnego z oględzinami monarszemi, gdy się wybierało metresy na balach dworskich we Francji, i może dekoltowania się dam dzisiejszych na balach, są wspólnie z uprzednio wymienionemi, ostatnim oddźwiękiem dawniejszyzh zwyczajów, gdzie badano towar, zanim się go kupiło na własność. Dziś inne zwyczaje. Pieniądz stanowi o wartości panien, obecnie nawet garbata ma wszelkie szanse znaleźć epuzerów, byleby tylko była bogatą, dzisiaj kupuje się zwykle mężów, i ci ostatni mianowicie, powinni byliby na dobry ład obnażać się na balach.

Jego Cesarskiej Mości Mikołaja I., a potem i Aleksandra II. Książe rzeczony, pijak nałogowy, jak i wszyscy książęta, (np. ks. Reuss, który czuje szczególniejszą satysfakcję w chłostaniu dzieci) straciwszy ogromną fortunę na życie wystawne i uczty „lukulusowe“ w Moskwie, uzyskał w drodze łaski monarszej dziwaczną synekurę noszącą tytuł „Inspektora nad zakładami karnymi Wschodniej Syberji. Książe Rastapczyn był ożeniony ze znaną w swoim czasie poetką, wsławioną szczególniej z powodu poematu satyrycznego, noszącego tytuł „Nasilnyj brak“, czyli przymusowe małżeństwo. Poemat ten, że miał niewinny tytuł, więc puszczony został w obieg przez cenzurę, dopiero po wydrukowaniu dopatrzono się w nim dowcipnej i zjadliwej satyry na stosunek Rosji do Polski. Mąż w poemacie rzeczonym narzeka na żonę temi słowy „S-manachom szepczet'sia ona, niebłagodarnuja żena“. Ta zaś odpowiada: „Ja wrag Tiebie, a nie żena“, a to z racji gwałtu uczynionego przymusowem małżeństwem. Takie stanowisko uważa poetka za jedynie godne być zajęte przez ofiarę tyraństwa. Car Mikołaj dowiedziawszy się o „strasznej zbrodni“ popełnionej przez księżnę Rastapczyn, kazał ją sprowadzić do tajnej kancelarji i tam ją osiec rózgami, zarazem rozkazał spalić wiersz inkryminowany; każdy zaś ze śmiertelników u któregoby znaleziono poemat księżny, miał być wysłany na Syberję. Inni znowu dopatrywali się w tym wierszu alluzji do przymusowego małżeństwa ks. Stefanji Radziwiłłównej z księciem Wittgensteinem. To małżeństwo ukartował sam car Mikołaj, kazał księżnę prawie dzieckiem jeszcze gwałtem zabrać na wychowanie do Petersburga, jak opowiadano na Litwie, zrobił ją frejliną dworu, a gdy dorosła przywołał do siebie i rzekł: „Mademoiselle, j'ai résolu faire votre bonheur“ — następnie kazał podać sobie jej rękę i włożył na palec brylantową obrączkę zaręczynową, a przywoławszy następnie generała Wittgenstejna powiedział: „Mademoiselle c'est votre fiancé“. Próżne były mdlenia narzeczonej, próżny opór „byt' pasiemu“ Mikołaja było zawsze nieodwołalne. Koniec księżny smutny, bo jak wieść głosi, książe małżonek znalazłszy płatnych dobrze wspólników w osobach: aptekarza wileńskiego Guta, plenipotenta książęcego Pana M. sprzątnął ze świata małżonkę swą, ażeby poślubić niezwykłej piękności kobietę, ks. Barjatyńskę, ulubioną Aleksandra II. Otóż domyślano się, że w tym poemacie z jednej strony jest przedstawiony los tragiczny Polski, z drugiej zaś strony tragedja życia nieszczęśliwej ks. Stefanji. Wracając następnie do samego księcia Rastapczyna, to ten rozjeżdżając po kraju zabajkalskim w interesie swojej rzekomej służby, gdy przybył do jakiej wsi, zaraz rozbierał się do naga i spacerował po ulicach w stroju adamowym; przechadzki takie nazywał „kąpielami słonecznemi“. Mieszkańcy Wschodniej Syberji protestowali nieraz bezskutecznie, aż zmuszeni byli nareszcie podać prośbę do Generał-gubernatora, ażeby raczył zabronić „Jego Sijatielstwu“ przechadzek tego rodzaju.

Pijacy, czy to okolicznościowi, czy też chroniczni, wykonywać zwykli sceny najsprośniejsze i zdolni są dopuszczać się czynów najohydniejszych, o których wspominać można tylko ze wstrętem; mając często sposobność obserwowania ludzi wracających z robót letnich na kopalniach złota, tudzież majtków różnych narodowości po miastach portowych, śledziłem czynności tych nieszczęśliwych ofiar alkoholizmu i nabrałem przekonania, że trudno znaleść więcej zwierzęcości, jak tu w ich środowisku.

Trunki wyskokowe, niszcząc działalność instynktów szlachetnych i rozsądku, uwalniają istotę ludzką z pęt moralności, przyzwoitości, dbałości o opinję współobywateli, o honor. Alkoholicy nie mają zwykle żadnego poczucia sprawiedliwości, w ogóle stają się oni niższymi od zwierząt, bo gdy czynnościami tych ostatnich kieruje zawsze instynkt, czyli doświadczenie dziedziczne, nabyte przez całe pokolenia przodków, to ci znowu zatracają całkowicie instynkty Widziałem np. studentów na uniwersytetach niemieckich, nałogowych pijaków, jak bez żadnego wstrętu zjadali padlinę, leżącą przy drodze podczas naszych wycieczek po okolicach wiejskich i chwalili się tem, że potrafią zjeść kawał mięsa, wykrojonego ze zgniłego trupa ludzkiego w prosektorjum anatomicznem.

Zważywszy te wszystkie właściwości alkoholików i uprzytomniwszy sobie straszny w rozmiarach stan alkoholizmu w naszym kraju, a także i w ościennych z nami państwach, gdzie prawie połowa ludności znajduje się codziennie, krócej, lub dłużej, bez kierownictwa rozumu i instynktów szlachetnych (tak np. w Mnichowie (Monachjum, przypada rocznie na osobę 508 liter piwa, a w Norymberdze 853 litrów na osobę, licząc w to dzieci i niewiasty), czyż mamy w obec tego prawo dziwić się, że wygłaszane bywają przemówienia szowinistyczne, albo wprost barbarzyńskie przez ludzi, dzierżących władzę, że cały szereg obywateli wzięło sobie za zadanie ciemiężenie i prześladowanie innych. Zrozumiemy również przyczynę tej nieskończonej ilości przestępstw, oszustw, sprzeniewierzeń, złodziejstw, zabójstw, tego ogromu rozpusty, tytułomanji, a nareszcie i głupoty powszechnej. Taki jest krótki obrachunek alkoholizmu tegoczesnego, to też śmiało powiedzieć można, że: mnogość wykroczeń, massywność głupoty stoją zwykle w prostym stosunku do ilości szynków, piwiarni, zakładów śniadańkowych, przekąskowych i tym podobnych instytucji „szlachetnych“, dźwigniętych w celu uprzyjemnienia życia obywateli płci męskiej po miastach krajów cywilizowanych. Wszystkie one, wraz z rozmaitemi „kasynami“, „klubami“, „ressursami“, „kołami etc. jako świątynie obżarstwa, opilstwa albo karciarstwa, są to ściśle biorąc, ni mniej ni więcej, jak kolebki rozpusty i zbrodni, a zarazem cmentarze moralności i cnoty. A wszakże

tam, w ich wnętrzu, przepędzają mężczyźni prawie połowę swego doczesnego żywota, w drodze ku nieśmiertelności. Odwiedzanie takich lokalów, uważa się przez wielu za cechę dobrego tonu; pójść na „śniadańko“, wyrzucić „dyskę, albo „piątkę“ na „delikatesy“ zamorskie, przegrać w karty pokaźną sumę jest to szczyt elegancji życiowej, przyczem nie pyta się wcale o to, z jakiego źródła biorą się pieniądze na te nadzwyczajne wydatki, a jednak ze smutkiem powiedzieć musimy, że analiza skrupulatna wykazuje, iż to są pieniądze „cudzej krzywdy“. Jedni krzywdzą swoich najbliższych, rodzinę własną, dzieci, żonę, służbę, drudzy krzywdzą klijentów, pacjentów, kundmanów; inni znowu krzywdzą instytucje, w których są czynni, etc.; dokładniejsze tedy badanie wykaże zawsze, że każdy z tych obywateli, obładowujących żołądek jadłem i napojami drogiemi, trawiących wieczory przy kartach, jest krzywdzicielem zwoich bliźnich, jest człowiekiem bez zalet społecznych, to samo daje się powiedzieć i o mniej eleganckich dżentelmanach, odwiedzających szynki i piwiarnie. Że z opilstwem i obżarstwem idzie ręka w rękę i karciarstwo rzeczą jest dowiedzioną, zresztą każdy się o tem sam przekonać może.

(C. d. n.) *Dr. Benedykt Dybowski.*

Z pism i książek.

Kazimierz Wróblewski: *Kornel Ujejski (1823 — 1893)*. W dodatkach garść listów Ujejskiego, Szajnochy i Bohdana Zaleskiego. Lwów. Nakładem Towarzystwa wydawniczego 1902.

W przeddzień odsłonięcia we Lwowie pomnika dla Ujejskiego przychodzi ta książka. — Przychodzi w porę, aby przypomnieć skargi poety, co brzmią lamentem całego narodu — i zadzwonić jego pieśnią, — pieśnią wojenną! — Przychodzi w porę, aby ocieplić serce dla natchnionego, co z szumem orłowych piór leciał w słońce i nie zniżał lotu.

Niechże przypomina, dzwoni, zapala! Ma siłę po temu. Jest w niej wszystko, co może uczynić Ujejskiego zrozumiałym, blizkim, drogim i zmienić dzień chwały pośmiertnej w tryumf, który daje tylko miłość szerokich mas narodu.

Jest w omawianej pracy i coś więcej jeszcze, niż portret literacki Ujejskiego, jako człowieka i pisarza. Autor kreśli tu dzieje czasów, w których pisał i działał poeta, — mówi o prądach i hasłach, co przebiegały społeczeństwo, zaznajamia z budzącym się ruchem literackim w Galicji, umieszcza — na drugim planie szerokiego obrazu — postaci wybitniejszych osobistości, z któremi Ujejski pozostawał w stosunkach znajomości lub przyjaźni i które wpływały na rozwój młodego jego talentu. A czyni to na podstawie badań bardzo sumiennych i nader umiejętnie przeprowadzonych.

Sumienność i gruntowna znajomość przedmiotu cechują i te ustępy dzieła, które autor poświęca wyłącznie analizie utworów poety. Przytacza tu zazwyczaj głosy krytyków wcześniejszych, którzy pisali o Ujejskim i już to polemizując, już po części zgadzając się z nimi, stara się dać czytelnikom prawdę, o ile sam zdołał ją wyrozumieć i posiąść.

A myśli jego i zdania tem łatwiej mogą przekonać, podbić, nawet narzucić się niekiedy, że autor wypowiada je w formie pięknej i silnej. Jako próbkę stylu, którym p. Wróblewski przemawia w swej monografji — stylu nie wybuchającego sztucznemi fajerwerkami, lecz pełnego mocy w swej prostocie, przytoczę ustęp z rozdziału o „Skargach“. Nie dlatego, aby był najcharakterystyczniejszy, lecz dlatego jedynie, że w dniu dzisiejszym, — w dniu zbiorowego hołdu — poeta staje w wyobraźni każdego z nas, jako „Jeremi, sługa ludu, syn ziemi natchniony, co wzleciał nad obłoki, jako ptak zraniony... I mieczem bijąc w lutnię ćwiczoną na mistrzach, łunami obleczony i dymem owiany, — uderzył w hymn, jak jego serce, potargany...

„Miary boleści dopełnił rok 1846 — mówi p. Wróblewski, kończąc przegląd rządów absolutyzmu, pod któremi Galicja gięła się i upadała od czasów Józefa II...

„Cierpiano za Polskę — cierpienie potęgowało u ogółu uczucia patrjotyczne, których skala była w owych czasach bardzo wysoka, a podsycała je jeszcze propaganda, idąca z emigracji... i wzmagała zapał patrjotyczny, wśród młodzieży zwłaszcza tak silny, że go Zygmunt Kaczkowski nie waha się porównać z zapałem religijnym we Francji w czasie wojen krzyżowych.

„Stąd to pieśń, która w czasie udręczeń budziła wiarę w sprawiedliwość Boską: „Bóg był i jest“ i wkładała w usta, przyzwyczajone już tylko do jęku zwątpienia, słowa:

Wierzymy Panie! o wierzymy mocno,
Żeś nas nad wszystkich upodobał sobie,
Żeś nas zapalił, jak pochodnię nocną,
By całą ludzkość prowadzić ku Tobie,
Że nam na niebie już świta zaranie,
Wierzymy, Panie!

„Ta pieśń rzeczywiście mogła mieć moc leczniczą, mogła być balsamem kojącym na rany i — jak wiemy — urodziła się z pragnieniem, aby nim być.

„Na takiem tylko tle można rozumieć „Skargi Jeremiego“, te modlitwy potężne i łzawe, słane od „ludu, co w mękach umiera“, w którym „drętwieje miłość i czucie“...

Jeszcze jedno: książka p. Wróblewskiego obfituje w cytaty, któremi autor uzasadnia swoje twierdzenia i poglądy. Nadaje to jej formę popularną wydawnictwa, przeznaczonego dla nieobeznanych z twórczością poety. Czy mamy czynić mu z tego zarzut? — Chyba nie! Te perły poezji, błyszczące na stronicach monografji, nie obniżają jej skali, — czynią tylko pracę dostępną dla szerokiego ogółu, spełniając tem samem życzenie poety, który marzył, aby „przez niższych miłość“ zdobyć nieśmiertelność, a w hymnie młodzieńczym wołał z dumną tęsknotą:

I chciałbym wielkim czynem po sobie
Taką pamiątkę zostawić,
Żeby *lud* płakał na moim grobie
I moje imię mógł sławić.

M. W.

Z drukarni W. A. Szyjkowskiego Lwów, ul. Kopernika 5.